

SYMPATYCZNE TRUCICIELKI

Jan Buchwald, były dyrektor kaliskiego teatru, wyreżyserował „Arszenik i stare koronki” Josepha Kesselringa. Premiera, która odbyła się w minioną sobotę, niewątpliwie była sukcesem. Sztuka na pewno spodoba się kaliskiej publiczności.



Lech Wierzbowski

Stanie się tak nie tylko dzięki znakomitej reżyserii, grze aktorskiej i przepięknej scenografii, ale także dzięki odmianie.

W minioną sobotę mieliśmy okazję przekonać się, że najważniejsze jest zachowanie umiaru i proporcji. Kiedy w Kaliszu dyrektorem teatru kilka lat temu był Jan Buchwald, miejscowi znawcy sceny zrywali się i kaprysili, że za dużo Czechowa i „Ślubów panińskich”. Grzeczne ułożone sztuki, zdaniem ówczesnych krytyków, zmuszały do ziewania i oprócz bankietów po premierze niczego mocniejszego nie można było oczekiwać.

Jan Buchwald odszedł. Nastąpił czas mąk egzystencjalnych, kosmicznej awangardy lub odkrywania na nowo teatralnej archeologii. Po scenie biegali jacyś ludzie, wrzeszczeli, upiorna muzyka zagłuszała ich słowa, szokowali swoją seksualnością a dekoracje zapowiadały czas apokalipsy. Dawka była tak silna, że kiedy wrócił Jan Buchwald, wszyscy odetchnęli z ulgą i zachwycili się sztuką „Arszenik i stare koronki”, której prapremiera odbyła się w 1941 roku.

Ktoś znakomicie wyczuł moment, że Kalisz potrzebuje dzisiaj czarnej komedii, zagranej w spokojnym tempie, ciepło, tak po mieszczańsku, a jednocześnie pełnej ironii i jednocześnie humoru. Do tego urzekająca scenografia Wojciecha Stefaniaka, wnętrze mieszczańskiego domu ciągle nowo bogackiej Ameryki z pretensjami do tradycji, której symbolem są portrety antenatów, którzy dorobili się milionów niekoniecznie w sposób uczciwy. Mamy więc obrazy w grubych ramach, kredens z filiżankami do herbaty, bibeloty, skrzynię na stare koronki i trupa, który w niej spokojnie spoczywa. To ciało samotnego człowieka, którego przed chwilą otruli bardzo sympatyczna staruszka.

Myli się ten, kto uważa, że „Ar-

absolutnie bardzo dobry.

Jan Buchwald, dzisiaj doradca prezydenta Warszawy w sprawach kultury, już przed premierą był pewny sukcesu a to dlatego, że znał kaliskich aktorów i wierzył w ich możliwości. Dał temu wyraz w jednym z wywiadów nazywając Horodyńską i Remelską aktorkami w najlepszym znaczeniu tego słowa. I nie pomylił się. Dlatego powinien pomagać i doradzać kaliskiej scenie, a wszyscy będą zadowoleni.

KRZYSZTOF
ŚCISŁY



Od lewej: Bożena Remelska i Krystyna Horodyńska

szrenik...” to samograj i zawsze się dobrze sprzedaje. Bardzo łatwo tutaj o wpadkę i nie ma wtedy nic gorszego od kiepsko zagranej czarnej komedii.

Dlatego szczególne ukłony należą się wspaniałej grze, przede wszystkim dwóch osób Krystyny Horodyńskiej (Abby Brewster) i Lecha Wierzbowskiego (Jonatan Brewster). Jeszcze nie tak dawno następcą Jana Buchwalda (nazwiska już nie pamiętamy!) wyraził opinię, że między innymi ta aktorka, powinna zejść z kaliskiej sceny. W sobotę grała po prostu po mistrzowsku. Miła, ciepła i zarazem przekonująco zabójcza.

Natomiast Lech Wierzbowski na pewno zaskoczył wszystkich. Jakoś przyzwyczaił nas do ról powściągliwych facetów z różyczką przypiętą do klapy nienagannie skrojonego garnituru. Tymczasem w sobotę dał prawdziwy popis aktorskich umiejętności. W roli psychopatycznego mordercy z twarzą Hitlera, charakterystyczną gestykulacją i mimami oddającymi stan duszy pozbawionego skrupułów furiata był po prostu wspaniały.

Bożenie Remelskiej (Marta Brewster) i Adamowi Szmańskiemu (Teddy Brewster) możemy pogratulować, że potrafili zachować umiar w rolach, gdzie łatwo przeszarżować. Jeszcze trudniejsze zadanie mieli Karol Kręc (Mortimer Brewster) i Agnieszka Kubies (Helena). Niezwykle trudno jest grać role ludzi mocno zakochanych, ale jednocześnie trzeźwo myślących, kiedy wokół wszyscy mają prawdziwego „hopla”. Postać bardzo potrzebna, ale podobnie jak w tych wspomnianych „Ślubach...” jakby do końca trochę sztuczne.

Natomiast swój występ w sobotę niepewnie zaczął Janusz Grenda (doktor Epstein). Jednak w miarę upływu czasu zaczął się rozkręcać i później był